



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży z działem dla dzieci

I DODATKIEM KSIĄŻKOWYM.

*W książkowym dodatku miesięcznym wychodzi obecnie: „Szkoła Krzemieniecka.“*



**Braterstwo broni.**

*rys. A. Oleszczyńskiego.*

Na pamiątkę wspólnych wojen polaków i francuzów w latach 1806 -- 1814.

## Wspomnienia historyczne.

II. 27 listopada 1806 r.

W szary dzień listopadowy  
Zatętniały gdzieś podkowy.

Hen! od Woli hufiec wali,  
A na Wiśle most się pali.

Szwolężerzy, czy szaserzy,  
Wieść, jak pożar, w mig się szerzy.

Żagwią iskry w krąg rozprasza  
Na zaułki, na poddasza.

Francuzi!... Francuzi!...

Zajechali do ratusza,  
W mieście kto bądź żyw — się rusza.

Z nocy dzień, bo rozświecono  
Okna... Niel to dusze płoną.

Jasno wszędzie, głośno wszędzie —  
Co to będzie? co to będzie?

Kawalerji huf Murata, \*)  
Za nim sam pogromca świata...

Napoleon!... Napoleon!...

*Ig. B.*

We dwanaście lat po 'zburzeniu Pragi i wzięciu Warszawy przez wojska Suworowa w listopadzie 1794 r., odwróciła się gwałtownie i niespodzianie karta historii naszej i w tym samym szarym miesiącu jesiennym, Warszawa, oddana Prusom, została oswoobodzona z pod jarzma pruskiego. Poświęcenia i walki legionów polskich pod obcem niebem nie poszły na marne.

Dokonał tego geniusz wojenny Napoleona. Nie interes polski ani poczucie sprawiedliwości kierowały go tym razem, lecz względy na własną sławę i potęgę cesarstwa francuskiego, nie mniej przeto w 1806 r. dzięki jemu zostało w pewnej części obalone dzieło rozbiorów Polski a utworzone w r. 1807 małe Polskie państewko „Księstwo Warszawskie“, z którego powstało następnie Królestwo Polskie tak zwane „Kongresowe“, bo przez Kongres Wiedeński 1815 r. zorganizowane.

Po rozproszeniu i zniszczeniu wojsk pruskich w słynnych bitwach pod Jeną i Auerstadem, po zajęciu Berlina i środkowych dzielnic królestwa pruskiego, Napoleon podążył na wschód na spotkanie wojsk rosyjskich, zdążających na pomoc Prusakom, i dla dokonania zupełnego pogromu Prus.

Nie mógł tego uczynić bez pociągnięcia ku sobie Polaków. Kościuszko, mieszkający wówczas we Francji, nie będąc pewny zamiarów cesarza odmówił mu współdziałania, Napoleon więc powołał Henryka Dąbrowskiego, naczelnika legionów, i Józefa Wybickiego, których znał chlubnie z dawnych swych wojen i zapowiedział im, że wskrzeszenie Polski zależeć będzie od samych Polaków, o ile dostarczą wojska i żywności.

W pięć dni po zjawieniu się marszałka Davoust'a i Dąbrowskiego z tą wieścią w Poznaniu, stanęło gotowych do boju cztery pułki.

Do deputacyi polskiej w Berlinie rzekł Napoleon d. 19 listopada 1806 r. następujące słowa:

„Wasze to niesnaski sprowadziły ruinę państwa w dziejach narodu. Niechże przeszłość służy wam za naukę zjednoczenia. Niech magnaci i wielka szlachta staną na czele, niech szlachta, duchowieństwo, mieszczaństwo połączą się z ludem, a gdy zobaczę 30 do 40000 ludzi pod bronią, ogłoszę w Warszawie waszą niezależność, a gdy ją ogłoszę, trwałą będzie. Leży w interesie Europy, w interesie Francji, aby Polska istniała. Chcę wiedzieć opinję wszystkich Polaków. To jedyna dla was chwila, aby stać się znowu narodem. Los wasz jest w waszych rękach. Dziś lub jutro wojska moje wejdą do Warszawy...“

Wojska francuskie weszły do Warszawy dopiero w tydzień, 27 listopada 1806 r., w tym samym dniu, w którym Napoleon odbył wjazd tryumfalny do Poznania, otoczony polską gwardją narodową.

Rankiem dnia tego wojsko i władze pruskie chyłkiem uszły na Pragę, i most na Wiśle spaliły. W parę godzin potem przycwałował oddział generała Milhaud'a. Radość mieszkańców była nieopisana!...

Wprawdzie w sześć lat potem, w tym samym miesiącu, w tych samych dniach niemal 27, 28, 29 listopada 1812 r. nad Berezyną podczas odwrotu z Moskwy Napoleon i jego armia otrzymały cios najstraszniejszy od sprzyżonych sił żywiołowych — chłodu i głodu. Dzieło Napoleona nie było dokończone ani trwałe tak, jak to z przesadną dumą zapowiedział, niemniej jednak wypadki historyczne 1806 r. nie pozostały bez znaczenia i ślad ich przetrwał aż do dnia dzisiejszego.

\*) Murat Joachim, szwagier Napoleona, słynny dowódca kawalerji.



## Straszne dni w Baku.

Z dziennika młodej Polki.

(*Ciąg dalszy.*)

Niepodobna dzisiaj wyjść na miasto, gdyż wszystkie sklepy pozamykane, prócz persów nikt na ulicę nie wychodzi. Tatusz przez okno zobaczył znajomego persa Mahmuda, i skłonił go, aby nam przyniósł na dwa dni najkonieczniejszej prowizji.

Dom nasz stoi oddzielnie, więc jesteśmy w ogromnym strachu. Stryjek przysłał nam robotników z fabryki, w której pracują mahometanie, dwu persów i dwu lezginów. Mówią, że w całym mieście wszechwładnie panują tatarzy a ludność neutralna, t. j. wszyscy prócz ormian oddają się im nolens volens w opiekę.

— Biedny Kasparjanc — powiedział tatusz trzeba nam o tym biedaku pomyśleć, sama ludzkość to nakazuje.

Kasparjanc to „kantorszczyk“ z biura gdzie tatusz pracuje, mieszka w sąsiednim domu.

— Ale jak ty pójdziesz do niego, Stasiu — mówiła mama tatusiowi — przecież na ulicy trudno się pokazać!

— Poślę po Mahmuda i z nim pójdę.

Pasza Aljech, robotnik z Oleumu, gdzie pracuje stryj, przyprowadził Mahmuda. Prosiłam tatusia, aby mi pozwolił iść z sobą do Kasparjanca. Tatusz i mama nie chcieli się zgodzić, przystali dopiero, gdy Mahmud poparł moją prośbę.

— Ty nie bojsia, barin, тебе niczego nie budiet i twój baranczuk. Persidskij ruskij nie tronut. (Nazywają nas tu rosjanami, bo wszyscy mniej inteligentni persowie wszystkich białych nazywają rosjanami).

Straszne uczucie zgrozy i obrzydzenia ogarnęło mnie do tych rozbójników persów, czyhających na ludzi, jak na zwierzynę. Zdało mi się, że żyję w dawnej Polsce, na którą napadły hordy dzikiego pogaństwa. Kiedy zasłisnęli do Kasparjanców, straszna ogarnęła nas litość. Oni sami siedzieli koło stołu zapłakani i milczący, dzieci napierały się czegoś z krzykiem.

— Współczujemy wam serdecznie Bohdanie Mojżeszowiczu — powiedział mu tatusz, ściskając jego rękę. — Przyszliśmy wam coś pomódz, może wam co przysłać, a przedwszystkiem radzić o bezpieczeństwie waszego życia.

— Dziękuję wam serdecznie Stanisławie Kazimierzowiczu, jesteśmy wam ogromnie wdzięczni. Jeśli pan może zdobyć trochę mleka dla naszych maleństw, bylibyśmy bardzo radzi.

Dzieci takie małe ciągle potrzebują świeżego i pożywnego jedzenia, a my za próg domu ruszyć się nie możemy. Przed tygodniem żona moja otrzymała list od swej matki z prośbą o natychmiastowy wyjazd z Baku. Mówią, że podli ludzie dawno podburzali na nas persów, którzy tyle wieków zgodnie żyli z nami we wspólnej nam ojczyźnie. I za co się leje tyle krwi niewinnej? Ot, ja naprzykład klęę się na dzieci, że nigdy nikogo nie skrzywdziłem, a może za chwilę wpadną tu zbóje i zabiją nas wszystkich.

— Postaram się panu we wszystkim pomódz, poproszę Mahmuda, który jest poważany między persami, żeby ochrauniali pana. Brata mojego znają tu dawno w Baku, persowie szanują i liczą się z nim, jestem pewny, że uda mi się ocalić państwa.

Odeszliśmy żegnani słowami wdzięczności i błogosławieństwa. Rzeczywiście tatusz dołożył wszelkich starań, poprosił Mahmuda, Dadasza Mamedowa rzeźnika, bogatego kupca i zarazem cenionego między persami herszta rozbójników i ten zaręczył, że rodzinie Kasparjanców włos z głowy nie spadnie. I dotrzymał słowa. W godzinę później dowiedzieliśmy się, że Kasparjanców Mahmud kazał przeprowadzić z całym dobytkiem do swego mieszkania. Tatusia dużo to kosztowało, że takiego zbója, co tyle ofiar ludzkich miał na sumieniu, rozbójnika, który sam chyba wart był szubienicy, musiał prosić i odwiedzać, ale chodziło o życie całej rodziny. Mahmud był zawsze wielce ceniony między persami za swą dzielność i odwagę, której dał wielkie dowody, nagrabiwszy i nazabijawszy tyle ludzi. Później, kiedy w czasie zesłania na Sybir, gdzie prowadził dalej swój proceder rozbójniczy, wrócił z poważnym kapitałem, wpływy jego i znaczenie wzrosły w Baku ogromnie.

— Eto młodiec — mówili o nim tatarzy — u niewo w gołowie zołoto — pokazywali stukając się po głowie z odcieniem dumy narodowej.

Jest to typowy rozbójnik kaukazki. Grabięca żądny łupu, chciwy, gościnnie, mający swą oddzielną etykę sprawiedliwości i honoru. Między persami jest wiele takich rozbójniczych powag, do których z daleka zjeżdżają się współziomkowie o rozsądzanie i wymiar sprawiedliwości. I rzeczywiście po większej części bronią sieroty i wdowy, nie dopuszczają ucisku i dotrzymują słowa. Dziwną ich ta moralność.

Strzały trwały dziś dzień cały. Gucio i Adalek byli tak wystraszeni, że za każdym strzałem bledli i drżeli. Tłumaczymy im jak możemy, że to tatarzy z ormianami wojują, a

że my nie jesteśmy ani jednymi, ani drugimi, więc nic nam złego nie grozi.

Dzień dzisiejszy wydaje się nam nieskończenie długim, bo myślimy, że każda minuta w tem dziwnym mieście unosi może życie kilku ofiar, ziejąc jakąś złą mocą, nieszczęściem, nędzą, kalectwem i sieroctwem. Tyle strzałów padało, że strach było otworzyć drzwi i wyjrzeć na ulicę. Stanęliśmy wysoko na stołach, aby dojrzeć z poza muru co się dzieje na ulicy. Straszny obraz: ambali, starzy, wyrostki, nawet rosjanie wybiegali z ormiańskich domów, uginając się prawie od łupów, gubili je po drodze, składali w jakieś miejsce i wracali znowu, aby dalej rabować.

Rabowano i wynoszono z domów cały dobytek: stoły, krzesła, pościel, garnki, zegary, suknie, ubrania, materje. I to jawnie, ze śmiechem, bez żadnej przeszkody. Widzieliśmy znajomych ambałów, którzy wydawali się porządnyimi ludźmi, jak wynosili rzeczy. Podobne postępowanie tatarów wzbudziło do nich taką odrazę, że ze wstrętem na nich patrzyły, jak na dzikie i drapieżne zwierzęta.

Dziś przed wieczorem koleżanka moja, ormianka, Szuszanik Mailow, odesłała mi pożyczony kajet z kartką, że ma przecucie, że ją zabijają, więc nie chce zatrzymywać mojej własności. Biedna Szuszanik!

*10 stycznia.* Przemęczyliśmy się przez ten dzień krwawej populanki dzikich instynktów. W nocy strzały nie ustawały. Dziś rano mówiono, że ormianie skupili się w ulicach, przylegających do kolei, że wysyłają swe rodziny koleją za miasto, a silni i zdrowi mężczyźni tworzą samoobronę.

Wogóle rola ich jest tylko odporną. Strzelają z okien, skupiają się na rogach ulic w dzielnicach przez nich zamieszkałej i żaden tatar nie może się tam pokazać. Zato tatarzy, gdzie tylko im się uda przydybać ormianina, zabijają go bez litości.

Dziś opowiadali nam straszne fakta, charakteryzujące ich okrucieństwo: otoczyli dom, zamieszkały przez rodzinę p. Tatasowa, adwokata ormianina, człowieka ogólnie lubianego i szanowanego w mieście, obleli budynek naftą i podpalili. Ponieważ otoczyli go naokoło, nie dopuszczali, aby ktoś wyszedł z domu, spaliła się cała rodzina złożona z dwójga rodziców i czworga drobnych dzieci.

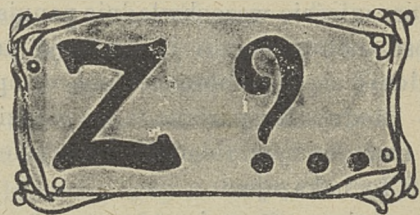
W jakimś domu podobno gwałtem wdarli się do środka, powynosili rzeczy, a ludzi pomordowali okrutnie.

Chcieliśmy wejść po schodach na dach naszego domu (w Baku dachy są płaskie, spacerują po nich, śpią i t. d.), ale, kiedy tatuś uszedł kilkanaście kroków, kula świsnęła mu

koło ucha. Trzeba więc spokojnie czekać końca tych krwawych dni.

Boimy się bardzo o naszych chłopców, szczególnie młodszego, Gucia, który blednie na odgłos strzałów. Mamy uczucie, że jesteśmy w oblężonej twierdzy. W mieście ustała wszelka praca, zaczyna nam brakować wody w wodociągach, piliśmy dziś herbatę ze słonej studziennej wody, którą nam przyniósł sąsiad pers. Jesteśmy wprost na łasce tych zbójów. Przynoszą nam swój chleb z makiem i baranią na obiad.

(d. n.)



(Ciąg dalszy.)

Henryk bronił się wspaniale! Wobec niebezpieczeństwa wszystkie młode siły, całe doświadczenie sportowe, jakie posiadał i silnie podniecona miłość własna złożyły się na gwałtowny wysiłek. Gdyby pole walki było większe, zwyciężyłby niechybnie. W tej jednak ograniczonej przestrzeni, napadnięty z tyłu zniemacka, zdążył wymierzyć kilka zaledwie ciosów...

Teraz, w podartem ubraniu, bardzo bladej, z twarzą wychudłą i okrwawioną, zaledwie mógł się utrzymać na nogach. Gdyby nie boleśnie wrzynające się w ciało więzy, upadłby napewno... Chwilami, zgrzytał zębami z wściekłości...

Nad uszami brzmiał mu dalej złowrogi głos Mac Zidleya:

— Doprawdy, mój miły młodzieńcze, źle wyglądasz!... To nie nasza wina!... Nie prosiliśmy cię o szpiegowanie nas podczas zebrania w zajeździe „Kolonja”... Nie na naszą to prośbę umieściłeś się wtedy tak blisko okna...

— I tak już dosyć wiedziałeś, dzięki papierom, które znalazłeś w walizie i listowi, który ci doręczono przez omyłkę... Papiery są często niebezpieczne! Niebezpiecznie też mieszać się w nieswoje rzeczy. Dowodem, że gdyby nie ten draż, rzucony na środku drogi przez jakiegoś idiotę, przejechalibyśmy cię jeszcze tego samego wieczoru. W ośm dni później powóz mój omal nie naprawił tego, co zepsuł samochód. Ale „do trzech razy sztuka!” jak mówi przysłowie. I oto mamy cię, ptaszku! Briel-

to zamiast do garderoby, zaprowadził cię do mieszkania stróża Lapie... Ta nieruchomość należy do mnie, jeśli chcesz wiedzieć. Ale bronieś się wtedy, oho! Znadto jestem Anglikiem, abym nie podziwiał ludzi, którzy umieją się boksować; brawo, młody człowieku, brawo!

— Tak, wiesz mu pan, że nas omal nie pozabijała! — mrunął Vernier.

— Rano jeszcze myślałem, że nam się wyrwiesz... Wybaczysz, mam nadzieję, że zakuknęliśmy cię w koszu... Może ucierpiełeś nieco z powodu ciasnoty... W Ville d'Avray za nic mówić nie chciałeś... Zresztą Ville d'Avray to miejsce niepewne, sąsiedzi bywają ciekawi, musieliśmy koniecznie zabrać cię tutaj, przywiązanego do siedzenia i przykrytego futrem... musieliśmy zakneblować ci usta i nałożyć maskę, jaką noszą palacze samochodów. Nikt nie mógł się domyśleć, że ten pan, dziwnie jakoś nieruchomy, krzychałby z ochotą „na pomoc!” No, ale matka Vandenne zawiązała ci usta, a ona zna się na tem. Trzeba ci wiedzieć, że była kiedyś pod sądem za jakiś czyn nie piękny... Wróćmy jednak do rzeczy. Zechcesz wreszcie nam co powiedzieć?..

— Nic nie wiem — odpowiedział Henryk przerywanym głosem.

— Owszem, wiesz... przetrząsałeś walizę, pozostawioną w twoim pokoju... zabrałeś papiery, z których jeden stał się dla ciebie kluczem do pewnej korespondencji.

— Niel...

— No, no, jesteś bardzo inteligentnym studentem, ale tylko studentem. Nie potrafiłbyś odgadnąć tego listu w przeciągu kilku godzin, nie mając żadnej wskazówki.

— Postarałem się i odgadłem. Oto jest wszystko!..

#### Daremne pogróżki. — Ciepłarnia profesora.

Teraz, Vernier zabrał głos. Mówił spokojnie, ale w spojrzeniu miał złość tajoną.

— Słuchajże... nikt ci źle nie życzy i wcale nie dlatego, że przez ciebie stanęły mi świeczki w oczach...

Wcale nie z tego powodu — będę jednak radził tym panom, żeby się dobrze do ciebie zabrali. Bronieś się—byłeś w swoim prawie... Ale po co ten brak szczerości?

— Dajcie mi spokój, ogłupiacie mnie!

-- Widzisz, nawet nie jesteś grzeczny!

— Grzeczny? -- I Henryk, ostatniem wysiłkiem dobywając głosu, zaczął krzyżeć:— Łotry, zbójce, mordercy! Nie dajecie mi jeść! Męczycie temi sznurami. Bodajście przepadli!

Mac Zidley uśmiechał się czule, słysząc te wykrzykniki.

— Lafonine, rozwiąż go — rozkazał.

Briello, Vernier i Strong aż podskoczyli.

— Lafouine, przetnij sznury — mówię! powtórzył Mac Zidley — Lafouine, mrużąc, spełnił polecenie.

Henryk, którego odwaga nigdy nie opuszczała, poczuwszy się wolnym, rzucił się na Mac Zidley'a. Ale podłoga usunęła mu się z pod nóg osłabionych, jakieś światła zatańczyły w oczach, przestał słyszeć — i upadł...

Podniesiono go i posadzono w fotelu. Wkrótce przyszedł do siebie,

— No i jakże?... już sznurów nie trzeba! Dobry post, dobre zmęczenie i świeże powietrze zrobiły swoje. Nie trzeba nam się sprzeciwiać, panie Iwicki. Namysł się raz i odpowiesz wreszcie: gdzie podziałeś papiery?

Henryk chciał odpowiedzieć: „dajcie mi spokój“, ale głos go zawiódł. Było mu bardzo niedobrze: w oczach mu się mieniło, w uszach szumiało, z pokrwawionych dłoni spływała krew kroplami... Znajomi z Guilneck nie poznaliby smukłego chłopca, który tak im się podobał.

Mac Zidley przemówił wreszcie tym samym pieszczotliwym — a strasznym głosem.

— Ponieważ trwasz w uporze, moje drogie dziecko, zapoznamy cię z Zuzanną, bardzo miłą osobą.

I podniósł się ku wyjściu.

Vernier i Harry Strong zmusili goniącego ostatkiem sił Henryka, aby szedł za nimi.

W jednym kącie hali widać było kręcone żelazne schody. Zeszli po nich i pograżyli się w ciemności. Gdzieś otworzyły się ciężkie drzwi metalowe... Owionęło ich ciepłe powietrze, przesycone zapachem eukaliptusu; weszli we drzwi i zaraz poczuli pod nogami miękki piasek alei.

Gdzieś w dali szemrało źródółko.

Mac Zidley nacisnął guziki elektryczne, światło buchnęło i obejmując coraz szersze kręgi, ukazało oczom Henryka i jego prześladowców olbrzymią ciepłarnię.

Prawdziwego jej obszaru niepodobna było określić. Z kilku lamp Edisona, w ukryciu umieszczonych, sączyło się blade, przyćmione światło. Zielone głębie szły w dal, bez końca. W górze, z niewidzialnych jakichś pni wystrzelały olbrzymie, długie liście i zwiślały w dół, tworząc sklepienia. Wokoło, na wszelkich wysokościach, wszędzie jeżył się fantastyczny gąszcz, którego niepodobna było prawie nazwać roślinnym. Zdawało się, że tłum straszliwych jakichś potworów roi się wśród cieni, i przepaści tego lasu podzwrotnikowego. W długiej połyskującej sadzawce odbijały się ponu-

ro pochylone nad nią rośliny, gdzieś w dali szemrało źródło...

Liany, podobne do zaczajonych węży, zwieszały się w różnych kierunkach...

W sztucznie podniesionej temperaturze rozlewał się odurzający zapach roślin podzwrotnikowych, przyjemny lecz przesycony zgnilizną. Żadne odgłosy z zewnątrz nie dochodziły do tego grobu, zdawało się tylko, słyhać w nim tętnienie natężonego życia tych wszystkich roślin egzotycznych, jaskrawo zieleniejących w bladym świetle elektrycznym.

Ten dziwny ogród był najwidoczniej przedmiotem troskliwości i dumy Mac Zidleya, który zatrzymywał się parę razy, pokazując Henrykowi z pewnego rodzaju chępliwością różne ciekawe rośliny.

W przeciwległym do przejścia końcu cieplarni znajdowała się niby szklana altana, oto-

Henryk widywał je na południu Francyj, był tylko jaśniejszy, bujniejszy i z daleka już pachniał mocno i upajająco. Pomiędzy gałęzmi krzewu umieszczono niewielką ławeczkę z poręczami, bardzo wygodną, o ile z pozoru sądzić było można.

Henryk zauważył, że towarzysze jego trzymają się w dość znacznej odległości od altany, nie mógł jednak pojąć dlaczego, bo jemu ten rozkwitły olbrzymi bukiet różowego kwiecica wydawał się przesłicznym!

— Opowiem ci, mój młodzieńcze, historię Zuzanny, którą, jak widzę jesteś oczarowany — odezwał się Mac Zidley. — Odsuńmy się tylko trochę dalej. Zuzanna nie lubi zbytnej poufałości, cha! cha! cha!

#### Straszna historia Zuzanny.

— W młodości mojej — zaczął Mac Zidley — podróżowałem bardzo wiele. Co wi-



— A teraz, mój miły młodzieńcze, pozwól, że zapoznam cię z Zuzanną — rzekł Mac Zidley.

czona żelazną siatką i mocnymi sztabami. Światła tam nie było. Nad drzwiczkami błyskała niewyraźnie olbrzymia złocista litera Z.

Towarzystwo przystanęło. Tu był kres niezwykłego spaceru.

Lęk jakiś ośwładnął Henrykiem. W altanie majaczył cień jakiejś rośliny i płynęła od niej woń migdałów.

Mac Zidley przemówił tonem pełnym pychy:

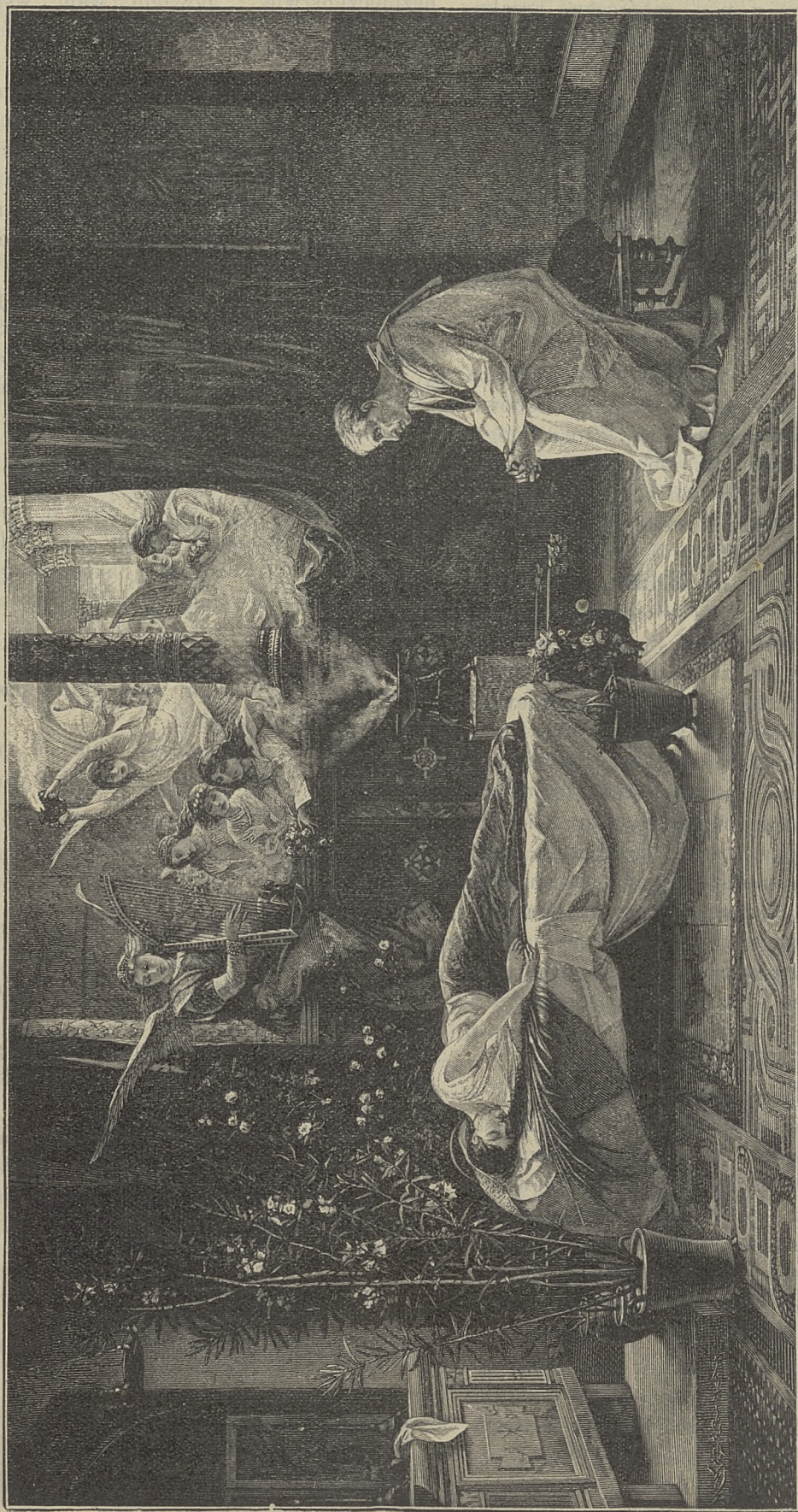
— A teraz, mój miły młodzieńcze, pozwól, że zapoznam cię z Zuzanną.

Nacisnął guzik. U szczytu altany zabłyśła lampa elektryczna i w powodzi oślepiającego światła ukazało się wdzięczne zjawisko: był to ogromny krzak, cały osypany różowym kwiecikiem. Rozrastał się szeroko, i wypełniał całą prawie altanę. Z pozoru przypominał wielkie krzewy migdałowe.

działem, gdzie byłem opowiadać nie pora! Pewnego razu, zwiedzając jedną z wysp Polinezyjskich znalazłem się w okolicy pustynnej i dzikiej. Byłem strudzony, z rozkoszą spocząłbym na trawie, w cieniu drzewa, a tu koło mnie, jak okiem zasięgnąć, płaskie nagie obszary! Po kilku godzinach drogi ujrzałem nagle jakiś punkt na horyzoncie.

— Popędziłem konia i wkrótce stałem oczarowany przed cudnym krzakiem, osypanym różowym kwiecikiem. Od krzaku szła mocna woń migdałów. Nie namysławiając się długo, puściłem konia na ubogą trawę, pokrywającą miejscami ziemię, a sam, z roszkosznym uczuciem ulgi, rozciągnąłem się pod cienistymi gałęziami krzewu.

— Wkrótce opanowało mnie dziwne uczucie senności i oszołomienia, jakies marzenia



**Święta Cecylia, patronka muzyki.**

Obraz ten przedstawia św. Cecylię, bogatą patrycyuszkę rzymską, która została umęczona w r. 230 za wyznawanie wiary chrześcijańskiej. Kościół nasz obchodzi jej pamiątkę d. 22 listopada.

pół na jawie roić mi się zaczęły i... straciłem świadomość tego, co się ze mną dzieje.

— Gdyby nie zacy krajowiec, którego skusiły moje ostrogi i który dla nich wyciągnął mnie w porę z pod zabójczego krzaku, nie miałbym zaszczytu rozmawiania w tej chwili z tobą, mój młody panie...

— Krzak ów bowiem, jak się później dowiedziałem, było to t. zw. „drzewo śmierci“, rodzaj lauru, którego zapach pochodzi od zawartego w nim w wielkiej ilości kwasu pruskiego i działa zabójczo na organizm ludzki. Krzew ten rośnie przeważnie na wyspach Polinezyjskich, chociaż i tam jest już rzadki. Krajowcy znają jego własność i tępią go niemiłosiernie.

— Wyleczywszy się z zatrucia, a trzeba ci wiedzieć, że leczyłem się długo, postanowiłem odszukać tę dzielną roślinę, która mogła okazać się pożyteczną dla moich celów a usiłowania moje zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Przywiozłem z sobą moją Zuzannę jako mały niewinny badylek, a teraz oto, dzięki umiejętnej hodowli, doczekałem się wspaniałego krzewu, który w trzy kwadransy załatwia się z osobami, krępującymi mnie w czemkolwiek. Wystarczy związać taką osobę i umieścić ją na ławeczce, wśród gałęzi krzewu... Altana jest, jak widzisz ze szkła, posiada tylko wentylatory, przez które ma dostęp powietrze, niezbędne do życia roślinie. Wogóle jednak, atmosfera jest tam ogromnie zgęszczona i kwas pruski zbiera się w bardzo znacznej ilości. Ostatni raz zatem proszę o wyjawienie znanych ci szczegółów, dotyczących sprawy d'Aubry'ego. Jeśli nam wszystko powiesz, odzyskasz natychmiast wolność, zobowiązawszy się naturalnie słowem honoru, że to, co tu widziałeś i słyszałeś, pozostanie przy tobie... W przeciwnym razie oddamy cię pod opiekę Zuzanny...

Henryk czuł, że krew lodowacieje mu w żyłach ze strachu, a jednocześnie trudno mu było wyobrazić sobie, że prześliczna kwitnąca roślina otruła niejednego już może człowieka. Ale pogrożki ludzkie i bliskość niebezpieczeństwa dodały mu nadspodziewanie sił. Pomimo głodu i zmęczenia czuł, że powraca mu jego zwykła przytomność umysłu. Udał, że się waha i pochyliwszy głowę zaczął rozmyślać:

— Gdybym nawet był w posiadaniu jakiej tajemnicy i wyjawił ją, ci zbóje zabiliby mnie tak samo. Zawiele widziałem! Pozwalając im mniemać, że znalazłem jakąś tajemnicę w papierach d'Aubry'ego, zyskam pół godziny czasu i posiłek. I to coś warte!

Z miną człowieka, który wreszcie zdecydował się na coś z wielką trudnością, Henryk oznajmił:

— A więc tak! życie moje jest w niebezpieczeństwie... powiem wam wszystko!... Tylko najpierw dajcie mi jeść, bo znów stracę przytomność.

Mac Zidley złożył mu ukłon ceremonjalny.

— Brawo, młodzieńcze! Tak to rozumiem! Przykro by mi było nieskończenie przerywać tak piękne życie. Zaraz podamy panu dobry podwieczorek, który, mam nadzieję, rozwiąże panu język. A co do Zuzanny, to nic ona na tem nie straci, ślicznotka!... Proszę za mną, mój młody panie. Zaraz podadzą jedzenie. Wybaczysz łaskawie, że pokojem stołowym będzie dzisiaj moje laboratorium. Ma ono tę dogodność, że znajduje się stąd bardzo blisko i że okna jego wychodzą na znaną ci altanę.

#### Obity posiłek. — Zawsze odważny!

Laboratorium był to duży pokój o gładkich szarych ścianach, pełen przyrządów chemicznych, elektrycznych i bakteryologicznych. Niektóre z nich miały kształty bardzo starożytne i Henryk przypomniał sobie, że widywał podobne w muzeach naukowych z napisem „alchemia“. Czyżby dr. Mac Zidley poszukiwał kamienia filozoficznego?

— Zwierzę najedzone staje się znów niebezpieczne, musimy cię związać — powiedział Vernier do Henryka.

— Tak, tak, mój drogi... Nie będziesz miał nam tego za złe, nieprawdaż? — odezwał się Mac Zidley.

— I obaj związali znowu nogi i rękę prawą Henryka, a następnie posadzili go za stołem od doświadczeń, na którym Lafouine odsunął trochę narzędzia.

Na małej przestrzeni, która się w ten sposób utworzyła, Vernier postawił chleb, szynkę, ser i butelkę wina.

Henryk rzucił się żarłocznie na jadło i zaczął się niem całkowicie. Zapach chleba upajał go. Szynka topniała mu w ustach, jak słony cukierek. Smak starego wina wydał mu się przedziwny.

Pomału ogarniało go przyjemne uczucie, zaczynał znów myśleć; zaspokoiwszy głód — odżył. Wydało mu się, że potrafi umknąć...

(d. c. n.)





TERESA JADWIGA.

## AULUS MARCUS.

POWIEŚĆ Z CZASÓW AUGUSTA.

(Ciąg dalszy.)

— Zajrzyj w głąb swej duszy i zważ, czyś pewien siebie! Nie o życie mi twoje chodzi, bo warto je poświęcić dla słusznej sprawy, ale nie należy narażać go bez celu a co gorsza — narażać swą cnotę. Skąd wiesz, że nie ulegniesz Tyberyuszowi, że on cię znów nie omami, nie wmówi w ciebie, że postępuje mądrze, że wymaga tego stan Rzymu?—odparł zwolna Perikles.— Tyś jeszcze słaby, Aulusie, według mnie wołałbym, abyś nie śpieszył na pierwsze wezwanie; wzmocnij pierwaj swego ducha. Posłuchaj! Oto ów mistrz nad mistrze, Jezus z Nazaretu, zwany Chrystusem, przybywa dziś do Jeruzalem. Azaliż wiesz, azali przypuszczasz kim On jest, kim być może?... pójdzem go powitać. Pamiętasz, coś mi powiedział w ów dzień smutny śmierci Jana, syna Zacharyasza, po wyjściu ze świątyni Judejczyków.

„Pójdę za nim“—powiedziałeś—nie obieraj innej drogi, radzę ci. Zbliża się dzień zwycięstwa prawdy nad kłamstwem, miłości nad złością, połączenia i zrównania wszystkich narodów i ludzi, doczekaj tutaj tego dnia, a gdy oświecisz się dostatecznie, wtedy może trzeba ci będzie do Rzymu lub gdzieindziej! Bo oto widzisz, Roma nie wytrzyma tak bardzo długo, aczkolwiek tak potężne ma podstawy. Posiada prawo i siłę, od Greków bierze sztukę i mądrość, ale ten rybak z Galilei naucza, że tylko miłość z mądrością znaczą, że miłość i mądrość mogą opanować wszystko i doprowadzić do królestwa szczęścia i prawdy, królestwa Jego Ojca.

W tej chwili, a był to już początek popołudnia, od drogi wiodącej do Jeruzalem przy murze ogrodu Aulusa rozległy się wołania:

„Hosanna synowi Dawidowemu.“

— Oto kroczy ten, który stanie się wkrótce władcą wszystkich narodów—rzekł Perikles—chodźmy go uczcić.

To mówiąc, powstał; Aulus podążył za nim.

Na drodze, wiodącej od willi podmiejskiej Aulusa do Jeruzolimy, widać było rzeszę, złożoną z niewiast, mężów, młodzieży i dzieci. Szła z gałązkami palm, szmer głosów płynął od niej.

— Oto kroczy ten, który uzdrawia ślepych i chromych, który daje spokój naszym sercom, który osusza nasze łzy i powraca wesele naszym duszom — powtarzały.

— Hosanna synowi Dawidowemu!

Dalej, w złocistym obłoku kurzawy słonecznej, widać było posuwającą się zwolna gromadkę mężczyzn. Pośrodku, na małym oślątku, jechał mąż, lat trzydzieści liczyć mogący.

— To On, poznaję Go — szepnął Aulus.

I niepewność, co ma czynić: czy spieszyć do Rzymu, czy pozostać w Jeruzolomie, znikła w jednej chwili z myśli jego. Wpatrzył się w to słodkie oblicze, jednocześnie jaśniejące mądrością i dobrocią, i szeptał:

— Pójdę wszędzie za Tobą i nie odstąpię Cię więcej, będę się uczył od Ciebie mądrości i miłości, albowiem mądrość i miłość to jedyna moc prawdziwa!

Tymczasem Jezus z uczniami zbliżył się do bramy Betleemskiej, otwierającej z tej strony wejście do Jeruzalem. Na drogę sypały się gałązki palmowe, a wołania „Hosanna synowi Dawidowemu“! rozlegały się coraz potężniej, ściągając nowe rzesze. Aulusa ogarnęło wzruszenie, które dodało mu dziwnej śmiałości: przecisnął się przez tłum, który pomimo ogólnej niechęci do swych zaborców, nie zwracał w tej chwili uwagi, że to jest rycerz rzymski. Zgiąwszy kolana przed Chrystusem, Aulus rzekł:

— Pozwól mi, Mistrzu, iść za Tobą, albowiem wielbię Cię i wierzę, że jeno w Tobie jest prawda.

A Jezus spojrział na niego łaskawie, a w tem spojrzeniu Aulus wyczytał myśl: Błogosławieni, którzy idą za mną.

I poszedł Aulus razem z Periklesem do Jeruzalem wśród tłumu Judejczyków i widział, jak lud cały witał wjeżdżającego, jak wybiegało coraz więcej naprzeciw Chrystusa, wołając:

„Hosanna! błogosławiony przychodzący w Imię Pańskie, król Izraela!“

I jedni rzucali płaszcze, drudzy gałęzie palm na drogę, a małe dzieciątka wyciągały rączka do Jezusa.

I widział—jak ślepi i chromi przystępowali do niego, i odchodzili uzdrowieni, jak smutni i przygnębieni cisnęli się do niego i odchodzili pocieszeni i pokrzepieni.

\* \* \*

Późnym wieczorem wrócił do willi wzruszony, szczęśliwy i jakiś inny, niż dawniej. Zdawało mu się, że błyszcząca, ale ciasna i sztywna łuska obywatela i rycerza rzymskiego, spadła z niego, a wyłania się — człowiek, któremu wszyscy ludzie są bliźnimi, jako dzieci jednego Ojca, jednego Boga!...

— I cóż odpiszesz do Rzymu przyjacielowi swemu?—zapytał go Perikles.

— Niech tu przyjeżdża i wraz ze mną pozna prawdę!

Perikles dłoń na jego ramieniu położył.

— Co się ma spełnić, spełnić się musi — rzekł.

\* \* \*

Ranek był parny po zimnej nocy, dyszący wiosną. Aulus zbudził się wcześniej niż zwykle, wstał i rzekł do Periklesa.

— Pójdę do Jerozolimy, czuję smutek i niepokój w sercu, może już wolny Ten, który tak potrafi uciszać moją duszę.

— Chodźmy razem, coś wielkiego się zbliża, czujemy to obaj — odparł Perikles.

I poszli, pogrążeni w myślach.

Od dni kilku krążyły po Jerozolimie wieści przygnębiające, wśród tych, którzy wierzyli w Jezusa, że pod sąd został oddany, iż własny uczeń Jego imieniem Judasz oskarżył i wydał Go w ręce starszyny żydowskiej. Skrępowanego powiedli naprzód do arcykapłana, który wiedząc, iż głosi inne niż wyznawane przez większość zasady, winnym go uznał i posłał do prokuratora Judei, Piłata, zwanego Pontskim, aby wydał na niego wyrok śmierci.

Aulus udawał się do prokuratora, tłumaczył mu, że w nauce Chrystusa nie ma nic, co by się sprzeciwiało prawu rzymskiemu, lecz Piłat, zarówno jak Herod, zlekli się oskarżeń kapłanów, iż Jezus mianuje siebie królem żydowskim i powstaje przeciw władzy cezara. Obawiając się gniewu Tyberjusza, Piłat nie wiedział sam, co począć. Aulus jednak nie tracił nadziei, że Piłat nie wyda wyroku niesprawiedliwego. U bramy betleemskiej spostrzegli gwarny tłum, cisnący się do miasta; zdało się im, że słyszą imię Jezus wymawiane, więc zbliżyli się do śpieszących w wyrażnym popłochu.

— Gdzie dążycie?—zapytał Aulus młodzieniaszka o wielkich smutnych oczach.

— Na Golgotę — odpowiedziano.

— Azaliż czeka was tam jakie widowisko?—odezwał się Perikles.

Mówiący spojrział na niego.

— Alboż nie wiesz, co się ma spełnić dzisiaj na Golgocie? — odparł z widocznym zdziwieniem.

— Za miastem mieszkamy, wieść każda później nas dochodzi — tłumaczył się Perikles.

— Jezus z Nazaretu ma być dzisiaj ukrzyżowany na Golgocie — rzekł ów.

A przy tych słowach łzy z oczu jego potoczyły się.

Aulus zbladł.

— Jakąż winę w nim znaleźli i kto go potępił? — zapytał wzruszonym głosem.

— Faryzeusze oskarżyli go niesprawiedliwie, albowiem nienawidzili go za to, iż serce jego jest czyste, jak to niebo nad nami rozpostarte, a ich czarne, niszczącymi piorunami dyszące! Herod

wydał nań wyrok potępienia, gdyż lękał się, by mu tronu nie wydarł, a prokurator rzymski, który swego cezara i jego donosicieli bardziej się lęka, niż hańby dla duszy, na żądanie faryzeuszów i ciemnego pospólstwa na śmierć jego zezwolił.

Aulus zdrzął! Przebudził się w nim rzymianin.

— Powołam kilkudziesięciu legionistów, którzy mnie znają z Germanii, powołam rzesze wyznawców Jezusa, odbijemy Go tym siepaczom!

Oczy jego płonęły ogniem, rzucił się naprzód. Perikles zatrzymał go łagodnie.

— Jeśliś słucał pilnie Jego nauk, słyszeć musiałeś, jako mawiał często:

„Co się ma spełnić, spełnić się musi, bo wola Ojca mojego silniejszą jest nad wszystko... Umęcą mnie, ale zmartwychwstanę i królować będę światu całemu“.

Mniemam, że gdyby nie było w tem woli Bożej, nie zginąłby ten sprawiedliwy, który nie jest zwyczajnym prorokiem, lecz naprawdę synem Bożym.

Dokoła odezwały się głosy.

— Śpieszmy na Golgotę, tam Jezusa Nazareńskiego krzyżują.

— Śpieszmy! — powtórzył Perikles.

I podążyli za tą gromadą. Gdy dotarli do stóp skalistego wzgórza, zastali już mnóstwo ludzi, którzy ruchomym wałem otoczyli miejsce kaźni.

Legioniści rzymscy pod dowództwem setnika trzymali straż, nie przepuszczając nikogo po za linię naznaczoną; posępna cisza zalegała górę.

Aulus nie mógł się dostać do pierwszego rzędu owego ruchomego wału, z daleka tylko ujrzał trzy krzyże, a na środkowym zawieszoną postać Chrystusa.

I nagle mrok zaległ przestrzenie, jak gdyby słońce przygasło zaćmione. Ziemia zdrząła pod stopami, wiatr zerwał się z jękiem, drzewa skrzypiały żałośnie, ptactwo w popłochu szukało schronienia, a wśród tłumy rozległy się okrzyki przerażenia. Wszyscy rzucili się z powrotem do miasta, pociągając za sobą Aulusa i Periklesa.

— Biada Judei, która umęczyła własnego proroka—odezwał się po chwili długiego milczenia Perikles.

(d. n.)

## ZE ŚWIATA.

**Powrót z wyprawy do bieguna.** W początkach lipca roku 1905 porucznik Peary opuścił Amerykę, udając się w drogę do bieguna północnego.

Przez czas dłuższy nie było z wyprawy tej żadnej wiadomości; dopiero w dniu 2 b. m.

otrzymano od Pearego z Hopedale telegram następujący: „Roosevelt“ (okręt wyprawy) przezimował przy brzegu północnym Grant-Land, nieco dalej na północ od leż zimowych „Alerta“ w roku 1884—85. W lutym wyruszyliśmy na łyżwach na północ w kierunku przylądków Hekli i Kolumbji. Zatrzymał nas pas wodny pomiędzy 84 a 85 stopniem szerokości. Poza 86 stopniem szerokości sześciodniowa burza potrzaskała łód, przecięła nam komunikację z kolumną pomocniczą i popędziła mnie na wschód. Dotarliśmy do 87 stopnia 6 minuty szerokości północnej\*).

W drodze powrotnej zjedliśmy 8 naszych psów; dążyliśmy na wschód, woda przecięła nam drogę; dotarliśmy wreszcie, bardzo zbiedzeni, do brzegów północnych Grenlandji. Upolowaliśmy kilka wołów piżmowych i wzdłuż brzegów Grenlandji wróciliśmy do okrętu. Oba oddziały pomocnicze zapędzone zostały na brzeg północny Grenlandji. Jeden z nich omal nie padł ofiarą głodu. Po tygodniu odpoczynku na okręcie pojechaliliśmy na łyżwach na zachód, okrążyliśmy Grant-Land od strony północnej i znaleźliśmy nowy ład w okolicach 100 południka. Droga powrotna była nieustanną walką z lodem, burzą i wiatrem przeciwnym. Podczas wyprawy nie było wcale wypadków choroby lub śmierci“.

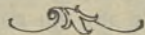
Z telegramu tego widać, że dokonana z wielkim nakładem wyprawa Peare'go, ostatecznego celu—dotarcia do bieguna—nie osiągnęła. Peary miał wielką nadzieję, że celu dopnie; na wyprawę łyżwową zabrał ze sobą małą chorągiewkę amerykańską, aby ją zatknąć na biegunie.

Plan jego polegał na tem, aby możliwie daleko na północ dopłynąć na okręcie, dalej zaś podążyć na łyżwach. Okręt „Roosevelt“ umyślnie na tę wyprawę został zbudowany. Jest on takiego kształtu, że kra może go tylko wypchnąć z wody, nie może zaś strzaskać. Najbardziej na ciśnienie lodu wystawione części obite są blachą stalową. Okręt długi jest na 185 stóp, szeroki na 35, zagłębia się na 16 stóp. Na pokładzie znajduje się aparat telegrafu bez drutu; przy pomocy dwu stacji na Grenlandji można utrzymywać stałe porozumienie z Labradorem, a stamtąd z Nowym Jorkiem. Okręt posiada potężną maszynę parową o sile 1,500 koni. Wyprawa zabrała ze sobą dwa domy składane, które miały być ustawione w miejscu zimowania.

Pearemu towarzyszą w podróży żona i córka, znana czytelnikom „Wieczorów“ Ah-ni-ghito (Śnieżna dziewczeczka) obecnie 15-o letnia panienka. Panie te podczas wyprawy łyżkowej miały zostać na zimowych leżach. Oprócz tego należy do wyprawy jeszcze jedna amerykanka, panna Babb, która jest sekretarzem i pomocnikiem Pearego. Panna Babb miała uczestniczyć w wycieczce na łyżwach; już podczas przygotowań do podróży okazała się bardzo pomocną Pearemu. Miała ona obsługiwać aparat telegraficzny i robić zdjęcia fotograficzne. Panna Babb

liczy lat 31; na zapytanie, czy nie obawia się niesłychanych trudów, jakie ją czekają na dalekiej północy, odrzekła: „Co mężczyźni znieść mogą, to i ja zniosę“.

Porucznik Peary połowę służby swojej w marynarce amerykańskiej spędził na wodach północnych.



## Skrzynka do listów.

Pewnie, że przydadzą się twoje dary *Anielciu Kob.* czyż mogłaś wątpić o tem? I dobre znalazłaś dla nich przeznaczenie, bo jakież dzieci więcej zasługują na współczucie niż te, których ojcowie w więzieniu, a biedne matki zarobić na chleb nie mają sposobu.

Odczuwam twój smutek biedna *Zaplakana Pesymistko* i tułę do serca, żeby ci wynagrodzić brak pieśszoty rodzicielskiej, za którą tęsknisz, ale sama rozumiesz potrzebę nauki i bardzo słusznie pisesz, że myśl o pożytku jaki odnosisz na pensji łagodzi twój żal za rodzicami. Obie was z *Litwinką* ściskam serdecznie prosząc o częste listy.

Posłuchaj *Ukrainko z Zakrzenicza* było tak: Mały ubogi chłopczyna zdał doskonale egzamin do szkoły, przeszłego roku dobrzy ludzie zapłacili za niego wpis, ale teraz tak trudno o grosz! już, już groziło chłopczynie wydalenie, kiedy właśnie nadeszły twoje 6 rubli. Jest dobry początek! zawołała Jaskółka i dalej krzątać się, jak przystoi na zabiegliwego ptaka, aż uzbierała tyle, że mały biedak ma znów prawo uczyć się przez pół roku. Co będzie potem? nie wiem, tymczasem dziękuję ci *Ukrainko* za moją i chłopczyny pociechę.

Prawda, że pod piórkami osłaniającemi Jaskółkę niełatwo domyślić się starej przyjaciółki ale dla ciebie *Halko z nad Teterowa*, która od tak dawna darzysz mnie swymi uściskami, chętnie odsłoniłabym ptasią przyłbicę, żeby mózż cię uściskać i pożegnać staruszkę kochaną, której radzę zapnumerować teraz *Mysł polską*, jeśli chcesz poważnego pisma, a może *Świat kobiecy*, gdzie znalazłabyś wiele szlachetnych i praktycznych wskazówek. Może wybierzesz się do Warszawy? mam nadzieję nie pominiesz wtedy naszej redakcyi.

Biedna *Galązko Bluszczu!* jakże mi cię żal, że musisz przejść bolesną operację z zębami, ale jestem pewna, że zniesiesz ją odważnie. Uściskaj ode mnie *Białe Jagniątko*, proś, niech mi daruje zmianę pseudonimu i napisze znów do Jaskółki, bo list jej bardzo mi się podobał.

Roboty twoje *Nowa Kalino* nadeszły już do redakcyi, oby jaknajwięcej dziewczynek dało ten dowód pracowitości. Stęskniłam się już za tobą i nieraz myślałam co porabia moje drogie pisklę,

Jaskółeczka rada,  
Bo nowych piskląt gromada,  
Do gniazda „Wieczorów“ śpieszy.  
A ona zawsze gotowa,  
Kochanej młodej swej rzeszy,  
Słać pieśszcotę i zachęty dobre słowa.

Oj, coraz to rad stary ptak, gdy skrzynka przyniesie mu list od nowego korespondenta, który obiecuje stale pisywać do Jaskółki, nie odrzucać jej naponnień, owszem starać się poprawiać z wad, uczyć pilnie, żeby wyrósć na dzielnego obywatela kraju, być chlubą ojczyzny i wspomnieć niekiedy te czasy, kiedy w gronie młodzieży z „Wieczorów“ miał dużo niezna-

\*) Najdalej przed Pearym posunął się kapitan Coqui z wyprawy księcia Abruzzów, do 86 stopnia 34 minuty. Nansen dotarł do 86 stopnia 14 minuty.

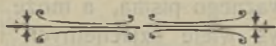
nych, ale tak jak on, pracujących towarzyszy i ucieszył Jaskółkę miłutkim liścikiem.

Alboż nie miłutki ten, który odebrałam od *Zajączka* „Mam lat 7 nazywam się Bronek, umiem już pływać“ pisze ten kochany *Zajączek*, a pisze i wiele innych ciekawych rzeczy. Mój *Zajączku* powiedz *Wichurze*, że jako dawna znajoma proszę ją bardzo, aby nie męczyła zbytnio nauką *Zajączka*, aby mu pozwoliła wybiegać się chociaż po pokoju, bo na dworze zły czas dla *zajączków*, zimno, a co gorsza strzelcy chodzą po polach i pi! paf! zastrzelić gotowi! Ale mój mały przyjaciel jest z tego gatunku, co to siedzi u mamusi, nie pod miedzą, więc myśliwi o takim *Zajączku* nic nie wiedzą.

Prawda *Wilio*, że dawno bardzo nie pisałaś, ale za to list twój czytałam teraz z wielką przyjemnością. Umiesz zająć opowiadaniem o siostrzyczce, kotkach, żywych obrazach, a nawet o tak poważnych sprawach jak założenie biblioteki. To też zachęć *Perelkę* do pisania a odbiorę znów z radością wiadomości o was, o tej miłutkiej *Toni*, którą uściskaj ode mnie, ale nie tak mocno jak ona swoje ulubione kotki ściska. Z językiem, chociaż to bardzo zapewne stworzenie, pewnie nie żyje w przyjaźni, bo pokłóby ją swemi kolcami na które, czy wiesz o tem *Wilio*? umie, przewracając się po jabłkach nawdziwać po kilka smacznych owoców i unieść je z ogrodu do lasu.

Chcesz rady *Miłośniczko dzieci* a radzić tak trudno, kiedy chodzi o pokierowanie pracą przyszłości. zwłaszcza nie znając warunków w jakich żyjesz. Mogę ci tylko raz jeszcze powtórzyć najszczerzej, że powiastki twoje podobały mi się i że zachęcałabym cię zawsze do próbowania sił w tym kierunku. Uważaj jednak tę pracę za dodatkową, za ciche źródło pociechy, które może z czasem wytrysnąć silniejszym i bujniejszym prądem, a zawsze da ci zadowolenie wypowiedzenia myśli swych i uczuć. Może, jeśli mieszkasz w Warszawie, mogłabyś przyjść do mnie kiedy, bo bardzo pragnę pomówić z tobą o twoich próbach literackich. Tymczasem wytrwaj w pracy nad twemi dwoma uczennicami, pomoc dana im to już niezawodnie zasługa i użyteczny czyn, za który ceni cię szczerze

Jaskółka.



## Od Redakcyi.



Termin konkursu robót dla pańienek, ogłoszonego w Nr. 26-ym „*Wieczorów*“ już upłynął; ponieważ jednak otrzymaliśmy względnie niewielką ilość robót, a chodzi nam o to, ażeby biedna dziatwa warszawska — nie otrzymała na Gwiazdkę mniej ubrania i bielizny od czytelniczek „*Wieczorów*“ niż lat poprzednich, odkładamy termin konkursu do

dnia 10 grudnia r. b.

i prosimy serdecznie czytelniczki nasze o nadsyłanie jaknajwięcej swych robót.

## Prenumerata „*Wieczorów Rodziny*“ wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10. Zagranicą rocznie 13 kor. lub 12 marek. OGŁOSZENIA: po 20 kop. wiersz 1 szp. petitu.

ADRES REDAKCYI, ULICA *Mazowiecka* Nr. 10.

## ODPOWIEDZI REDAKCYI.

**Niedoli.** W kwestyi gier „*Śladami Mickiewicza*“ i in. radzimy się zwrócić do p. *Paciorkowskiego*, *Miodowa* 10.

**P. Janinie Tym. w Sm.** Nadesłane nam trzy poezye, chociaż nie nadają się do „*Wieczorów*“, wykazują pewną zdolność wierszowania i podniosłość uczuć zwłaszcza religijnych w dwóch ostatnich utworach.

**P. Z. Bohd.** Kolonie *Letnie* sprzedają zużyte marki handlarzom na dochód swej instytucyi. Dawniej wysyłałyśmy te marki na rzecz misyi katolickich w Afryce przez ręce ks. *Godlewskiego*, obecnie pośrednictwem tem zajmuje się ks. *Ig. Dubowski*, *piłoszcz* par. *Korzec* na *Wołyniu*. Niech *Zolusia* przysła nam swoje zbiory, a wraz z dawniej nam nadesłanemi, oddamy je tam, gdzie biednym dzieciom przyniosą jaknajwiększą korzyść.

**P. Leon Minde.** Sądzymy, iż którekolwiek z wymienionych pism będzie zupełnie odpowiednie. „*Journal de la jeunesse*“ — tygodnik, rocznie z przesyłką 12 rb. „*Jeunesse illustrée*“ — tygodnik, z przesyłką rocznie 8 rb. 40 k. „*Magasin illustré d'éducation et de recreation*“ — dwutygodnik, z przesyłką rocznie 8 rb. 60 kop. „*Revue illustrée de la jeunesse*“ — miesięcznik, rocznie z przesyłką 3 rb. 80 kop.

**Wezele.** Do rebusów musimy robić fotograficzne zdjęcia i z tego powodu rysunek rebusu powinien być bardzo dokładny i tuszem czarnym wykonany. Może ułożysz inne jakie zadania, które spożytkować będziemy mogli.

**Trafnego** zupełnie rozwiązania wszystkich zadań z numeru 41-go nikt nie nadesłał, choć naogół było dosyć sporo rozwiązujących, z tego powodu nie nagradzając nikogo tym razem w przyszłym tygodniu damy nowe zadania do nagrody. Mamy nadzieję, że czytelnicy nasi postarają się trafnie je rozwiązać.

**Zadania i łamigłówki**, nadesłane przez *Nemo*, *Przyjaciela* „*Wieczorów*“, *Sokoła* z *Mazowsza* i *Halkę* z nad *Narwi* zaliczone zostały do druku.

## Zamiana kart pocztowych

(za pozwoleniem rodziców.)

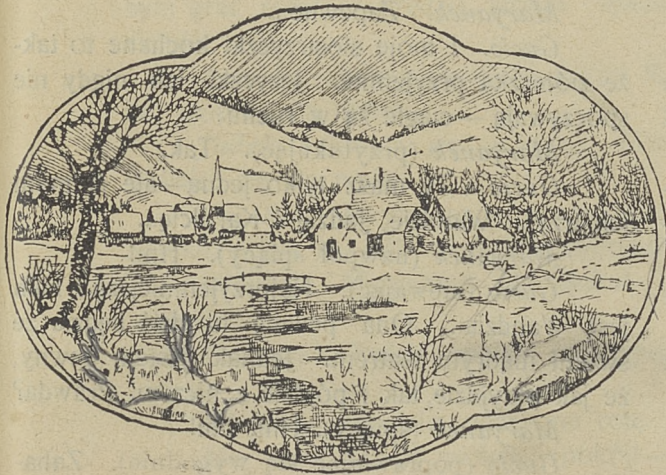
**H. Klawe** (dla *Podolanki*) gub. *Podol.* p. *Czerniatyn* z czytelniczkami „*Wieczorów*“ pragnie zamieniać pocztówki z typami.

Do tego N-ru dołącza się dodatek powieściowy za *listopad* „*Szkoła Krzemieniecka*“ (ark. 7—12).

## TREŚĆ:

*Braterstwo broni* (ryc.) *A. Oleszczyńskiego*. — *Wspomnienia historyczne* (27 listopada 1806 r.) — *Straszne dni w Baku*. — *Z?...* (z ryc.), przekład *Maryi Znatowiczówny*. — *Święta Cecylia*, patronka muzyki (ryc.). — *Aulus Marcus*, powieść przez *Teresę Jadwigę*. — *Ze świata*. — *Skrzynka do listów*. — *Odpowiedzi Redakcyi*.

**Dodatek:** *Stynko*, *Klarcia* i *Pedro* (z ryc.). — *Z teki powinszowań*, przez *Z. Z.* — *Koledzy z osłej ławy*. — *Pani Staroscina* (gra towarzyska). — *Zadania i łamigłówki*.

**Zagadka w obrazku.**


Gdzie są dwa lisy, skradające się po zdobycz do wioski?


**Stynko, Klarcia i Pedro.**

Przygoda na morzu.

(*Ciąg dalszy.*)

Przykro było to powiedzieć, a jeszcze przykrzej uwierzyć temu, co mówią, ale oficerowie mieli słuszność... Smutne były dni, które nastąpiły po tym wypadku, ale wszyscy rozumeli, że na to nie ma już żadnej rady: byli serdeczni i pełni współczucia dla biednego Stynka, lecz chłopczyna milczał jak zakłęty, i nikt nie słyszał jego głosu.

Całemi godzinami przesiadywał koło klatki Pedra, nie zwracając uwagi w swem ciężkiem strapieniu, że ptak przystroił się w śliczną sukienkę błękitno-zielonych piórek, ze szkarłatnym kołnierzem na szyi — i zmienił się do niepoznania.

\* \* \*

Reszta podróży upłynęła smutno. Wszyscy byli pod wrażeniem strasznego wypadku.

— Nawet ten student jest bardzo strapiiony tem, co się stało — mówił kapitan o panu Trojdenie, niedomyślając się, że on właśnie

był sprawcą nieszczęścia! Kiedy statek przybił do Odesy i osamotniony Stynko wsiadł do wagonu z doktorową, dążąc do babuni i do kraju dotąd nieznanego, nawet ta zmiana i widok nowych krain i nowych ludzi, nie zdołał wyrwać go z głębokiego smutku i przygnębienia.

Ale najgorsza była chwila, kiedy wysiadłszy z wagonu, zajechał wraz z opiekunką przed staroświecki dwór babuni, z papugą tylko — sam... bez siostrzyczki.

Babunia była w rozpaczy, dowiedziawszy się o nieszczęściu. Naturalnie, więcej martwiła ją myśl o boleści syna i synowej, niż strata jasnowłosej dziewczynki, której wcale nie знаła. Ale widok żalu w jakim był pogrążony Stynko przejmował ją współczuciem i pociągał do tego dziecka, które umiało tak gorąco kochać i tak długo pamiętać.

**V. Pedro i wizyta pana Trojdena.**

Smutnie upłynęło lato i jesień w domu babuni, gdzie niepokieszony Stynko błąkał się po ogrodzie i po domu, milczący i blade. W stajni stał śliczny kucyk, dar babuni, ale chłopczyk nie miał nawet ochoty spróbować jazdy, mimo zachęty rządcy, który ofiarował się zabierać go z sobą w pole.

W domu było jeszcze smutniej, bo Pedro osowiał też zupełnie. Siedział w pięknej mosiężnej klatce, którą babunia dla niego sprowadziła: siedział cichutko, odwrócony tyłem do pokoju, a dziobem do ściany. Nie chciał się zaprzyjaźnić z nikim z domowych, tylko na widok Stynka okazywał zadowolenie.

— Chciałabym wiedzieć, co ten ptak myśli? — mówiła panna Klementyna, zarządzająca domem babuni, gdy razem ze starym służącym przygotowała do śniadania.

— Siedzi to, proszę pani, napuszone jak wrona, odwraca się tyłem do człowieka, i ciągle patrzy jak urzeczona na ścianę — zrobił uwagę stary Jan, urażony objętnością Pedra, o którego łaski gorliwie zabiegał, częstując go przysmaczkami i przemawiając do niego, bo był wielki amator ptaków.

— Prawda, że ciągle patrzy na ścianę — powtórzyła panna Klementyna. — Jakby tam co widział..

Na ścianie wisiał portret dziewczynki z jasnymi włoskami, w białym fartuszk, jednej ze starszych wnuczek babuni.

W ten obrazek Pedro wpatrywał się uporczywie, to jednym okiem, to drugim, i od czasu do czasu mówił zcicha i żałośnie.

„Babuniu! babuniu“...

— A toż on myśli, że to ta mała panienska, co utonąła! — zawołał zdumiony Jan, który dłuższy czas przyglądał się ptakowi. — Pewnie go uczyła mówić „Babuniu“ i on teraz patrzy i powtarza... A to mądre ptaszysko! Pamięta lepiej niż niejeden człowiek!...

Gdy rozeszło się po domu, że Pedro wpatruje się w portret, myśląc, że to utopiona Klarcia, i woła „Babuniu“—wszyscy rozczulili się bardzo.

— Tak!—zawołał z płaczem biedny Stynko.—Ten obrazek bardzo do niej podobny: takie same miała włosy i oczy.

Babunia nic nie powiedziała, ale serce jej się ścisnęło.

— Nawet ptak żałuje jej i tęskni, a cóż dopiero rodzice!—pomyślała z żalem.

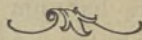
(d. n.)



## Z teki powinszowań.

Wiele gwiazd na niebie płonie,  
Wiele mają listków drzewa,  
Wiele rybek morskie tonie,  
Wiele kropli dżdżu ulewa —  
Tyle szczęścia w każdej dobie  
Niech Bóg ześle, matko (ojcze), tobie!

Z. Z.



## Koledzy z osłej ławy.

KOMEDYJKA.

(Dokończenie.)

SCENA III.

*Gucio i Maryanek.*

*Gucio.* O!... jak to złośliwie powiedziane...

*Maryanek.* Ktoby tam na to uważał!

*Gucio.* Nie mogę jednak pojąć, jak to się stało, żem Janinki nie spostrzegł.

*Maryanek.* Nie możesz pojąć? Ja ci to wytłómaczę. Nie spostrzegłeś dla tego, boś jej nie widział—a nie widziałeś dla tego, boś jej nie spostrzegł.

*Gucio* (ze śmiechem). A wiesz, że to być może! (Obadwa się śmieją.)

*Maryanek* (po chwili). W każdym razie dobrze uczyniła, że sobie poszła. (Ziewa.)

*Gucio* (po chwili). Jak sądzisz Maryanku, czy ona się obraziła?

*Maryanek* (poprawiając się w fotelu, jakby chciał usnąć). Albo ja wiem!

*Gucio* (tak samo się poprawia, ale ponieważ mu niewygodnie na krześle, wstaje i siada na kanapie). Ona jest bardzo żywa i lubi wiele mówić.

*Maryanek.* Zapewne...

*Gucio.* I moje siostrzyczki kochane to także ziółeczka przyjemne. Języcki ich nigdy nie spoczywają — ciągle są w ruchu.

*Maryanek* (przytakując). Tak.

*Gucio.* Ty masz tylko jedną—ale ja mam ich trzy!... Wandzię, Jadzię i Karolcię...

*Maryanek* (nawpół śpiący). Hm!

*Gucio* (ziewając). Najprzyjemniejsza z nich jest Wandzia... Ona pewnie tu dziś będzie ze swoim mądrym teatrem. Jednak jestem pewny, że jak przyjdzie, tak i pójdzie z niczem. Prawda?

*Maryanek* (śpiący). Hm, hm!

*Gucio* (poprawiając się wygodnie). Zabawne to stworzenia, te dziewczęta... Nie szkoda to czasu na takie głupstwa?

*Maryanek* (przez sen). Oo!

*Gucio.* Jakiś tam teatr!.. (po chwili) Jakiś tam sceny!...

*Maryanek* (chrapie, *Gucio* zasypia).

SCENA IV.

Po chwili wchodzi Janinka, a widząc uspio-nych, wraca do drzwi i nakazuje gestami ciszę; wchodzą cichutko: *Wandzia, Jadzia i Karolcia.*

*Janinka.* Tylko śmiało i natarczywie!—Idzie głównie o to, aby przyrzekli. Jeżeli powiedzą, że przyjmą rolę, możemy na nich liczyć z pewnością!

*Karolcia.* Tak, żeby tylko przyrzekli.

*Wandzia.* Muszą. Nie odstępować ich ani na krok — prosić, nudzić, do tego stopnia, aż zniecierpliwieni zgodzą się.

*Jadzia.* Tak, tak, to dobry sposób.

*Janinka.* A więc zaczynajmy. — Najpierw zbudźmy ich gwałtownie.

Zbliżają się do Maryanka i *Gucia* i na dany znak przez *Janinkę*, śmieją się i krzyczą tak głośno, że *Maryanek* i *Gucio* wstają na równe nogi.

*Gucio.* Ojej!

*Maryanek* (przecierając oczy). Co się stało?

*Wandzia.* Myśmy tu przyszły do was z wielką prośbą.

*Mdryanek.* A to piękna prośba, która się objawia śmiechem, piskiem i krzykiem!

*Jadzia.* Nie chciałyśmy was budzić...

*Gucio.* Budzić? — przecieżeśmy nie spali.

*Janinka.* Nie, tylkoście trochę drzemali.

*Karolcia.* Posłuchajcie o co was prosimy..

*Wandzia.* Mój poczciwy Maryanku...

*Maryanek.* Poczekajcie niech trochę ochłone...

*Jadzia.* Mój drogi Guciu...

*Gucio.* Czegóż wy chcecie? — Pewno wam w głowie ten niemądry teatr!

*Karolcia.* Tak jest. Oto dwie role, jedna dla ciebie, druga dla Maryanka. (Podaje rolę).

*Maryanek* (zrywając się). Co, teatr? Ja miałbym grać rolę? — Prędzej słońce spadnie na ziemię.

*Janinka* (obejmując go za szyję) Maryanku, zrób to dla mnie!

*Jadzia* (chwyta go za rękę). Maryanku poświęć się dla mnie!

*Karolcia* (chwyta go za drugą rękę). Maryanku, uczyni to, jeśli mi dobrze życzysz?

*Wandzia* Maryanku! Maryanku! Ja cię proszę!

*Maryanek* Puście mnie! (Odstępują od niego).

*Wandzia.* Karolciu, oddaj mu rolę.

*Maryanek.* Dajcie mi święty pokój! — (Ucieka z gniewem z pokoju, dziewczęta biegną za nimi.)

#### SCENA V.

*Janinka.* Ja tutaj zostanę na straży — żeby nam nie uciekli. Poczekajcie leniuchy! — Nie damy wam póty spokoju, póki na swoim nie postawimy. Zawstydzimy was.

#### SCENA VI.

*Janinka, Wandzia, Jadzia, Karolcia, Maryanek i Guccio.*

*Maryanek.* Żebyście nie wiem co robiły, ja żadnej roli nie przyjmę.

*Wandzia.* W takim razie nie damy ci chwili swobodnej.

*Maryanek.* To ja się zamknę w pokoju.

*Jadzia.* My będziemy cierpliwie czekały, aż wyjdiesz, bo przecież wyjść musisz.

*Maryanek.* No, to ja wejdę na dach!

*Karolcia.* Nie zechce ci się.

*Maryanek* (do siebie). To prawda,

*Gucio.* Dlaczego nas męczycie! — Czemuż nie idziecie do Józia albo Kazia?

*Wandzia.* Bo to są role, jakby dla was stworzone.

*Jadzia.* My tak serdecznie prosimy...

*Wszystkie razem.* Mój kochany Maryanku, mój kochany Guciu!...

*Maryanek.* Nie, nie! i raz jeszcze nie!

*Gucio.* Lecz cóż to za role, cóż to za tytuł tej przesławnej komedyi?

*Wandzia.* Przyrzeknijcie pierwej, a my wam później tytuł przeczytamy.

*Maryanek.* Nie, pierwej przeczytajcie...

*Wandzia.* A przyjmujecie rolę?

*Maryanek.* Zobaczymy...

*Karolcia.* No, to masz i czytaj! — podając mu).

*Maryanek* (czytając). „Koledzy z oślej ławki“. — Co, co? — Koledzy z oślej ławki? — Guciu, słyszałeś?

*Gucio.* Słyszałem.

*Maryanek.* I cóż ty na to?

*Gucio.* Nie podoba mi się ten tytuł, to przymówka do nas.

*Maryanek.* Naturalnie.

*Janinka* (żywo) Tak, to przymówka do was, bo nam siostronom wstyd za was, że jesteście takimi leniuchami.

*Maryanek i Guccio* patrzą na siebie i wzdychają!

*Wandzia.* Cóż, przyjmujecie rolę?

*Maryanek.* Ja przyjmuję — a ty kolego?

*Gucio.* Skoro ty, to i ja!

*Maryanek.* Ale pamiętajcie, że przyjmujemy rolę dlatego tylko, aby wam dać dowód... to jest, aby was przekonać... czyli krótko mówiąc, mój kolega wam to wyjaśni.

*Gucio* (po krótkim namyśle). Jeżeli chcecie wiedzieć, dlaczego przyjmujemy te role, to wiedźcie, że dla nas oślej ławki nie ma — bo my, my już nie będziemy kolegami z oślej ławki, lecz z pierwszej!

*Wandzia.* O, moi drodzy... jak to dobrze!

*Janinka.* O, tak, bo wiemy, że słowa do trzymasz.

*Maryanek.* Dobrześ Janinko powiedziała! Ale na zakończenie zróbcie nam grzeczność, łaskę.. czyli krótko mówiąc, zróbcie to, co wam mój kolega jasno wyjaśni.

*Wszystkie razem.* Słuchamy! słuchamy!

*Gucio.* Moje szanowne panie — nie nudźcie już nas dłużej — idźcie sobie z Panem Bogiem — abyśmy z Maryankiem mogli zająć się lekcyami na jutro — kto chce dobrze się uczyć musi pracować!

*Janinka.* Tak wyraźnemu życzeniu — natychmiast czynimy zadość. (Dziewczynki wychodzą)

*Maryanek* (po chwili). A więc kochany Guciu, od dzisiaj rozpoczynamy nowe życie.

*Gucio.* Tak! — ja będę przychodził do ciebie — ty do mnie, i będziemy się obadwaj wspierali, aby godnie wywiązać się z danego przyrzeczenia i nie być więcej „Kolegami z oślej ławki“.

(Zastłona zapada.)



# Pani Starościna.

## Gra towarzyska.

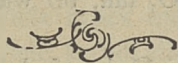
Uczestnicy zabawy siadają w koło i biorą sobie nazwy oficjalistów w dawnych domach polskich, np.: marszałka, koniuszego, podstorościego, klucznika, piwniczego, kuchmistrza, łowczego, włodarza, masztalerza, panny respectowej, panny apteczkowej, dwórki, ochmistrzyń, panny służebnej i t. d.

Osoba, będąca panią starościna, obchodzi koło i mówi: „pani starościna jedzie w drogę i bierze z sobą...” Tu wymienia kolejno osoby, składające jej dwór, a te powstają i idą sznurem za nią.

Gdy już wszyscy staną i obejdą koło, niby polonezem, parami po razy kilka, ktoś zawoła: „pani starościna zajechała!”

Wówczas każdy z pośpiechem siada gdzie może, a że jednego miejsca brakuje, więc kto został w kole, ten jest panią starościna, płaci fant i gra rozpoczyna się na nowo.

Taka była dawna forma tej gry, liczącej z górą lat 100. Ale można ją zmienić w ten sposób, że zamiast pani starościny urządzać niby podróż króla, a zamiast oficjalistów domowych, otoczyć go kołem dawnych dygnitarzy i urzędników polskich: hetmana, kanclerza, podskarbiego, wojewody, kasztelana, starosty, podstolego, stolnika, krajczego, podczaszego, cześnika, miecznika, podkomorzego, wojskiego i t. d., których znaczenie niewiedzącym ktoś ze starszych wyjaśni.



## Zadania i łamigłówki.

### Łamigłówka kratkowa

uł. Wiarus.

W	a	r	t	a
y	i	l	u	a
y	i	s	w	a
g	o	t	t	
W	r	o	n	a

Kratki należy wypełnić literami tak, żeby głoski, które się znajdują na miejscu liczb utworzyły nazwę jednej z naszych rzek.

### Znaczenie wyrazów:

1) Rzeka w Polsce, 2) Miasto na Litwie, 3) Ulica w Warszawie, 4) Jezioro w Polsce, 5) Ptak swojski.

## REBUS.



Rebus ten jest dosyć trudny więc dla ułatwienia objaśniamy, że w pierwszym szeregu od góry dana jest nuta *ut*, a widok przedstawia miasto *Rzym*. W drugim szeregu wyobrażeni są *ajenci*, nuta—*la*, grecka litera *ni* i *sqd*. W trzecim szeregu jest rzeka *Obra*, rzeka *Po* i dygnitarz wenecki—*doża*.

Po tych wyjaśnieniach odgadnięcie rebusu nie przedstawia żadnych trudności.

## Przeplatanka literowa

uł. Wiarus.

1) aadprw 2) ajk 3) ailow 4) an 5) celirwz 6) ałpwwyy

## Rozwiązania do № 45-go.

### Arytmogryfu kryształowego:

			J						
		M	A	J					
		D	U	N	A	J			
	K	O	R	S	Y	K	A		
H	U	D	Z	O	N	S	K	A	
J	A	N	S	O	B	I	E	S	K
K	R	A	S	I	N	S	K	I	
	M	A	T	E	J	K	C		
		S	O	S	N	A			
			O	K	O				
				I					

Środkowe litery składają: *Jan Sobieski*.

### Łamigłówki literowej:

Ba — n — an  
Ol — i — mp  
Br — e — st  
Ło — m — za  
At — e — ny  
Da — n — te

Środkowe litery składają: *N—i—e—m—e—n*.

### Zadania konikowego:

Pan Bóg radzi  
O swojej czeladzi.